

KRAINA WIATRAKÓW POWRACA

Jeśliby szukać logo dla Żuław, jakiegoś wyrazistego symbolu tej krainy, to pierwszym skojarzeniem, które się nasuwa, jest wiatrak. Sprytnie urządzenie, które wykorzystywało siłę wiatru nie tylko do mielenia zboża, jak to było na innych obszarach Polski, ale również do napędu pomp odwadniających.

Żuławy ze względu na swą nizinność, a wręcz płaskość, brak lasów oraz bliskość morza leżą w obszarze, który na mapie oznacza się jako „wybitnie korzystna strefa energetyczna wiatru”. Jako człowiek mieszkający tu od dzieciństwa nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, że wieje tu przez co najmniej trzysta dni w roku. Na nieprzerwanie wiejące wiatry od morza skarżą się raczej przyjezdni, miejscowi przywykli.

Ale kiedy dobrze się zastanowić, można dojść do wniosku, że bez nieustannie dmących wiatrów Żuław po prostu by nie było. Człowiek, który próbował oswoić tę krainę wydartą wodzie, wpadł na pomysł, żeby wykorzystać przy jej osuszaniu siłę wiatru. Pierwsze wiatraki zaczęli stawiać tu Krzyżacy. Do dziś nie wiadomo, czy pomysł przywieźli ze sobą z wypraw krzyżowych, bo to właśnie ze Wschodu pochodzi ten wynalazek, czy może wiatrak trafił tu z Holandii, gdzie znano go już w XIII wieku i używano nie tylko do mielenia zboża, ale także do poruszania pomp.

I to jest pierwsza, zasadnicza różnica pomiędzy Żuławami a resztą Polski. W noweli *Antek* Bolesław Prus opisał, jak kolosalne wrażenie na tytułowym bohaterze zrobił wiatrak: „Ale chłopcu wiatrak spokojności nie dawał. Antek widywał go i w nocy, przez sen. Więc taka straszna urosła w chłopcu ciekawość, że jednego dnia zakradł się do promu, co ludzi na drugą stronę rzeki przewoził, i popłynął za Wisłę. Popłynął, wdrapał się na wapienną górę [...] i zobaczył

wiatrak. Wydał mu się budynek ten jakby dzwonnica, tylko w sobie był grubszy, a tam, gdzie na dzwonnicy jest okno, miał cztery tęgie skrzydła, ustawione na krzyż. Z początku nie rozumiał nic – co to i na co to? [...] dowiedział się [...] że w wiatraku miele się zboże na mąkę”. Na wsi polskiej wiatrak był młynem stojącym zwykle na wzgórzu. Niczym na obrazie Pietera Bruegla Starszego *Droga na Kalwarię*, który stał się inspiracją filmu Lecha Majewskiego. Malarz umieścił go tam na wyniosłej skale, wysoko nad okolicą.

Na Żuławach wiatraki często pompowały wodę. O góry czy wzgórze tu trudno, radzono sobie inaczej – sypano sztuczne wzgórki, czyli tak zwane terpy albo budowano wiatraki na wałach przeciwpodziowych lub wznoszono je na budynkach. Szukano najkorzystniejszych warunków wietrznych, które mogłyby uruchomić śmigi, czyli wiatraczne skrzydła. W ostateczności mogło to być puste pole.



1. Jan Bruegel Starszy *Krajobraz z wiatrakami*

W Holandii wiatraków były tysiące. Warto prześledzić ich obecność w malarstwie niderlandzkim. U Bruegla znajdziemy wiatrak w jego alegorii obżarstwa (z cyklu *Siedem grzechów głównych*), pojawiają się na wielu obrazach Hieronima Boscha (*Kuszenie św. Antoniego* czy płonące wiatraki z *Piekle*). Najczęściej niosą one ze sobą balast odczytań alegorycznych lub symbolicznych. Często bardzo skomplikowanych, o ogromnym ładunku wiedzy teologicznej lub astrologicznej, jak to udowadnia w swej książce *Młyn i krzyż* Michael F. Gibson. Jednak na sztychach i obrazach Rembrandta (*Młyn*) oraz Jacoba van Ruisdela (*Pejzaż z wiatrakiem*, *Wiatrak w Wijk koło Duurstede* czy *Pejzaż wieczorny ze strumieniem*) te charakterystyczne budowle są ważnym elementem krajobrazu oraz znakiem podporządkowania przyrody człowiekowi. Ciekawe, że chociaż w Rzeczypospolitej wiatraków przybywało, to w malarstwie polskim jest on mało widoczny. Na obrazie nieznanego malarza zatytułowanym *Oblężenie Malborka* (1480),



2. Aleksander Gieryski
Na cmentarzu starozakonnych

wiszącym w gdańskim Dworze Artusa, w tle widać wiatraki. Niezawodny Canaletto umieszcza je z fotograficzną dokładnością na obrazie *Elekcja Stanisława Augusta*. W tle widzimy aż cztery charakterystyczne budowle. Również Aleksander Gieryski w swych rysunkach dla „Tygodnika Powszechnego” nie omieszkał pokazać wiatraków za płotem Cmentarza Żydowskiego na Powązkach. Sylwetkę holendra dostrzeżemy też na obrazie *Bitwa pod Grunwaldem* Jana Matejki.

Jerzy Domino pisze: „Wiatrak umieszczony w oddaleniu od zwartej zabudowy wsi lub miasta, czyli miejsca uporządkowanego, był jakby tego uporządkowania przeciwstawieniem. Przez ruchome elementy wieży i skrzydeł był też przeciwstawiany statecznym bu-

dynkom. Przez swoją, w pewnej części, człekokształtną formę był, tak jakby, olbrzymem, potworem sztucznym, nieobliczalnym, sterowanym przez żywioły między zorganizowanymi siedzibami ludzkimi, ich polami i dziką przyrodą”. Stał się czytelnym z dużej odległości symbolem europejskiej cywilizacji. Wyjątkowość jego konstrukcji sprawiała, że był częstym motywem malarskim, ale i literackim – wystarczy przypomnieć słynną walkę Don Kichota z wiatrakami w powieści Miguela Cervantesa.

Krzyżacy, władający Żuławami od połowy XIII wieku aż do roku 1466 (drugi pokój toruński), dokładali wielkich starań, aby zagospodarować dzikie i nieużyteczne dotychczas obszary delty Wisły. To oni zaczęli wykorzystywać do osuszania tych terenów siłę wiatru. Królowie polscy sprowadzili tu osadników z Niderlandów, wielu z nich było wyznawcami idei Menno Simonsa. Słynęli z dużych umiejętności gospodarowania na roli i świetnego radzenia sobie z podmokłymi gruntami. Idealnie pasowali do tych ziem. Tu było zupełnie tak samo jak w ich ojczyźnie – niski kraj (bo to dokładnie oznacza holenderskie słowo ‘Nederland’), mokry i wietrzny, ale urodzajny. Mennonici byli niezwykle pracowici i wprawieni w walce z wodą i osuszaniu bagien. Udało im się dokończyć to, co zaczęli Krzyżacy - osuszyć Żuławę.

Wiatraki wykorzystywano nie tylko do ich typowych zadań, czyli mielenia zboża, ale również do tłoczenia nasion słonecznika i lnu na oleje, międlenia konopi, przecierania drewna, mielenia gorczycy. Połowa z nich pracowała jako pompy. Za pomocą łopatek umieszczonych na kole lub śruby Archimidesa przepompowywały wodę z rowów do kanałów, z miejsc leżących niżej do położonych



3. Ostatnia pompa parowa w Różanach



4. Wiatraki typu kożlak przy kanale odwadniającym

wyżej, odwadniały pola i łąki. Ich znaczenie dla tej ziemi jest nieocenione. Na starych mapach widzimy mnóstwo charakterystycznych symboli oznaczających *Windmühle*. Udało się ustalić, że w XVII wieku na Żuławach Gdańskich były 54 wiatraki. W 1818 roku na Żuławach Malborskich istniały 124 wiatraki odwadniające i 35 przemiałowych. Do 1945 roku przetrwało ich co najmniej kilkadziesiąt. Ta obfitość wiatraków świadczyła też o zamożności

okolicy. A jednocześnie była znakiem władania przez człowieka nad naturą. Budowa młyna to rzecz niesłychanie kosztowna, bo młyn wiatrowy jest urządzeniem o wielkim stopniu zaawansowania technicznego. Aby dać obraz rzeczywistych kosztów budowy młyna wiatrowego, warto przytoczyć informację o dzisiejszych cenach – w Holandii działa firma De Gelder B.V., która specjalizuje się w rekonstrukcji wiatraków. Koszt takiego przedsięwzięcia to około miliona euro.

Liczebność wiatraków zmniejsza się w Europie od XIX wieku. Od wynalezienia maszyny parowej można obserwować prawdziwy kres ich popularności. Nawet do pompowania wody zaczęto stosować urządzenia o napędzie parowym, spalinowym lub elektrycznym. Były one po prostu wydajniejsze i skuteczniejsze, pozwalały na osuszanie o wiele większych polderów. W czasie II wojny światowej saperzy niemieccy wysadzali wiatraki, bo na płaskich terenach były one doskonałym punktem orientacyjnym, służącym radzieckim artylerzystom do ostrzeliwania pozycji wroga. „Nieliczne wiatraki, które przetrwały ten trudny okres, były potem rozbierane na opał lub ulegały powolnej destrukcji po zaprzestaniu działalności gospodarczej. [...] w pierwszych latach powojennych zmiana funkcji wiatraków wynikała nie tyle z szybkiego rozwoju techniki, ale także ze zmian ustrojowych, które były zdecydowanie niekorzystne dla rozwoju prywatnej przedsiębiorczości. Wiatraki jako typowe małe przedsiębiorstwa rodzinne



5. Wiatrak w Palczewie

nie mieściły się w nowym ustroju społeczno-ekonomicznym. Ich nowi właściciele, podobnie zresztą jak młynarze w całej Polsce, byli postrzegani jako przedstawiciele zamożnej warstwy kapitalistów, czyli tzw. »kułacy«, a więc element wrogi”.

Przemiany cywilizacyjne, a także zmiana ustroju spowodowały, że wiatraki zniknęły z polskiego krajobrazu. Jeszcze pod koniec lat siedemdziesiątych XX wieku ich liczebność szacowano na pięć i pół tysiąca obiektów. Dziś pozostało kilkaset. Najczęściej są tylko eksponatem w skansenach. Nie ma nic złego w tym, że je tam przeniesiono. Ale budowle te zostały wydarte ze swego otoczenia, przestały być znakiem krajobrazu.

Na Żuławach pozostały dwa wiatraki – holender w Palczewie i kożlak w Drewnicy. Jeszcze niedawno stał w Drewnicy drugi młyn typu holenderskiego, który w latach siedemdziesiątych zagrał siedzibę odrażającego przestępcy w serialu SOS. Spłonął w 1989 roku. W grudniu 2001 roku spalił się wiatrak w Wikrowie. Pozo-



6. Wiatrak w Drewnicy

stało zdjęcie zrobione przez strażaka – upiorny widok, bardzo podobny do apokaliptycznej wizji Boscha. Jadąc przez Polskę, można gdzieś zobaczyć ceglane lub kamienne wieże starych wiatraków – bez hełmu, bez śmigieł. Czasem obok leżą koła młyńskie, które ze względu na rozmiar i ciężar porzucono w polu. Są jak nagrobek. Żałosny koniec dumnego żywota.

Żuławy po wojnie stały się krainą zdegradowaną. Najpierw zalane przez wycofujących się Niemców, którzy wysadzili wały wiślane, później rabowane i niszczone przez Armię Czerwoną i szabrowników, w końcu stały się obiektem poronionego eksperymentu z upaństwowieniem rolnictwa. Nikomu nie były już potrzebne ani

wiatraki, ani domy podcieniowe. Osadnicy czuli się tu tylko jak przelotne ptaki. Straszni nieustannie niemieckim rewizjonizmem nie szanowali tego depozytu, który tu zostali, nie rozumieli tej krainy. Dawna chluba Prus, w której płacono podatek katastralny wielokrotnie wyższy niż w innych prowincjach, stała się terenem ubogim, miejscem zesłania, malaryczną krainą, przez którą trzeba szybko przejechać w drodze nad Bałtyk lub do Gdańska.

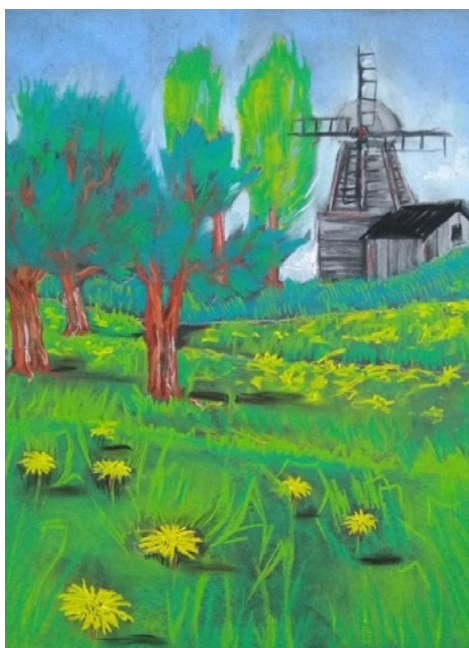
Obydwa wiatraki – koźlak z roku 1718 oraz dziewiętnastowieczny holender z Palczewa – stoją w swych historycznych lokalizacjach, w swym naturalnym położeniu. To dziś rzadkość. Oba są własnością prywatną, zabezpieczone, ogrodzone. Nie niszczą, ale czy ich właściciel ma jakiś pomysł na to, jak je ożywić, zagospodarować? Z rozmowy z nim nie odniosłem takiego wrażenia. Może koszty utrzymania, niezbędnych napraw i koniecznych inwestycji przerosły jego możliwości, bo powiedział mi, że wystawi holendra na sprzedaż. Ten młyn pracował jeszcze w latach siedemdziesiątych. Na starych zdjęciach widać jego wnętrze, belki pokryte mącznym pyłem, spusty do napełniania worków. Z kolei młyn w Drewnicy to unikatowy wiatrak przemysłowy z bryłą dachu na kształt odwróconej łodzi. Na szczęście od początku lat siedemdziesiątych miał właścicieli, którzy o niego dbali. W tym młynie próbowano odbudować śmigła, ale niefachowe uruchomienie mechanizmu skończyło się źle – wiatr

7. Pożar wiatraka w Wikrowie ➔





8. Wiatrak w Drewnicy



9. Hanna Kasperk *Wiatrak w Wikrowie*

wyrwał część, która poleciała aż do wsi. Warto wspomnieć, że jest to wiatrak, o którym pisał Czesław Miłosz w swym reportażu *Na Żuławach*: „ten brązowy zmierzch w brązowym, rdzawym flamandzko-holenderskim krajobrazie, ta ciemność, z której wynurzają się jeszcze łapy wiatraka”. Stoi on koło drogi prowadzącej do gospodarstwa, w którym w 1945 roku osiedliła się jego rodzina, „repatrianci” z Wilna.

We wrześniu 2007 roku w Nowym Dworze Gdańskim odbyła się konferencja zatytułowana *Kraina wiatraków powraca*. Uczestniczyli w niej goście z Polski, Niemiec i Holandii – pracownicy muzeów, właściciele obiektów historycznych, pasjonaci. Radzono nad ochroną istniejących wiatraków i sporządzeniem dokumentacji historycznej, wspomniano nieistniejące obiekty. Powstał wtedy pomysł rekonstrukcji wiatraka odwadniającego. Jednak gdy dziś patrzę na tytuł tej konferencji, to nie mogę pozbyć się myśli, że to jakaś ironia historii, bo brzmi on jak szyderstwo. Na ścianie mojego pokoju wisi pastel przedstawiający wiatrak z Wikrowa, ale kiedy wyjrzę przez okno, widzę kręcące się łopaty fermy wiatrowej. Zaśmiecają horyzont, psują krajobraz. Żuławy to płaski kraj, który nie może się obronić przed takim widokiem. Stalowe wiatraki stoją kilka kilometrów ode mnie, a i tak są świetnie widoczne. Nie marzyłem o takim powrocie krainy wiatraków. Po-

jawiły się nagle, bez ostrzeżenia. Do ich budowy potrzebny jest tylko solidny fundament, montaż wieży z gotowych elementów trwa zaledwie kilka godzin.

Wiele mówi się i pisze o ochronie krajobrazu kulturowego. Na Żuławach to na przykład ratowanie domów podcieniowych, mostów zwodzonych, urządzeń hydrograficznych. Ale także pejzażu – bezkresu pól i łąk, kratownic rowów i kanałów, rzędów wierzb i topól. Stalowe maszty szpecą i niszczą ten jedyny i niepowtarzalny pejzaż. Zamek w Malborku został wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO, a we wpisie tym nie tylko określono granicę terenu zamkowego, ale również wskazano tak zwaną strefę ochrony krajobrazu, obejmującą tereny położone po zachodniej stronie Nogatu, które właściwie nie zmieniły się od czasów średniowiecza. Dlatego UNESCO zwróciło się ostatnio do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Nie powinno się lekceważyć tego listu. W 2013 roku Drezno zostało skreślone z listy UNESCO, ponieważ w ocenie tej organizacji wybudowanie sześciusetmetrowego mostu z betonu i stali stało się niedopuszczalną ingerencją w historyczny krajobraz doliny Łaby. Zamek stoi na wyniesieniu i jest widoczny z bardzo dużej odległości. Maszty planowanych tu elektrowni wiatrowych uznano za zbyt duże.

Istotnie są one gigantyczne – sięgają od 120 do 180 metrów. Dla porównania – dom podcieniowy ma wysokość 10 metrów, wysokość wiatraka nie przekracza 20 metrów, wieża kościoła to przeciętnie



10. Wnętrze wiatraka w Palczewie



11. Ferma wiatrowa pomiędzy Nowym Dworem Gdańskim a Stegną

30 metrów, bazylika Mariacka w Gdańsku ma aż 82 metry i góruje nad miastem. Wirnik turbiny wiatrowej powinien mieć średnicę około 50 metrów, żeby turbiny mogły wyprodukować 1 megawat energii. Inaczej jest to nieopłacalne. Przekonali się o tym Holendrzy, którzy w czasie II wojny światowej próbowali wykorzystywać istniejące wiatraki jako generatory prądu. Ich wydajność nie była zadowalająca.

Pewnie okolice malborskiego zamku ocaleją przed inwazją stalowych konstrukcji, nie będzie industrialnego gwałtu na rustykalnym krajobrazie, ale reszta regionu nie została objęta żadną ochroną. W powiecie nowodworskim buduje się Farmę Wiatrową Nowotna (20 turbin), w planach są następne – w okolicach Gozdawy, Kmiecina, Stegny, Ostaszewa. Razem około setki masztów. Te plany często stają się przedmiotem sporu, mieszkańcy nie chcą ferm koło swoich domów, postulują ich ograniczenie.

Tak naprawdę to odnoszę wrażenie, że bez dotacji unijnych, szczerze rozdzielanych przez Brukselę, nikt nie kwapiłby się do bu-

dowy ferm wiatrowych. Koszty są wysokie – przykładowo Ferma Wiatrowa Nowy Staw kosztowała przeszło 60 milionów euro. Nie czuję się kompetentny, aby mówić o tym, kiedy nastąpi zwrot inwestycji. Boję się jednego – że ewentualna zmiana przepisów sprawi, że zostaniemy ze sterczącymi na polach kikutami, pordzewiałymi i opuszczonymi. Nasz krajobraz już został zeszpecony, może nie bezpowrotnie, ale wystarczająco. Zwolennicy energetyki wiatrowej mają jeden argument – pieniądze. Faktem jest, że dla biednych gmin żuławskich wizja zdobycia milionów z dzierżaw czy podatków jest kusząca. Do tego stopnia, że niektórzy chętnie stawialiby turbiny zaraz koło zabudowań, bo przecież to czysta ekoenergia. Inni mieszkańcy boją się wiatraków, uważają je za szkodliwe dla zdrowia i natury. A przecież pozostaje problem ptaków i nietoperzy. Dla nich elektrownie wiatrowe są zabójcze, a przecież nad Żuławami odbywa się jeden z największych w Europie ciągów ptaków, które wędrują z Północy na Południe. Lecą ich miliony.

Opowieści o tanim prądzie z wiatru to niestety bajki. Widać to po doświadczeniach niemieckich. Energetyka wiatrowa pochłania tam gigantyczne sumy dofinansowania – obecnie kwota ta wynosi przeszło 20 miliardów euro rocznie. Pojawiła się nawet teza, że „niemiecka polityka energetyczna jest kosztowna, szkodliwa i krótkowzroczna”. Bo pozornie wydaje się, że wiatr wieje zawsze i za darmo. A wcale tak nie jest i wiedzą o tym świetnie żeglarze znający zjawisko flauty. W 2003 roku upalne lato nad większością obszaru Europy spowodowało ciszę wiatrową o rozmiarach klęski. Stały wiatraki i gdyby nie konwencjonalne źródła energii, na wielu terenach zabrakłoby prądu.

Sam już nie wiem, co myśleć o tych stalowych kolosach. Jedni mówią o negatywnych skutkach, które one wywołują, drudzy przekonują, że to jednak czysta energia. Nawet jeśli stwarza rozmaite problemy, to na pewno nie powoduje smogu, zjawiska, które staje się w Polsce coraz groźniejsze. Nie lubię ich, nie podobają mi się, ale zastanawiam się nad słowami mojego kolegi. Kiedyś w dyskusji na ten temat zauważył on trafnie, że na Żuławach nie stać nas na ten krajobraz, bo jesteśmy za biedni. Wymierne korzyści z obecności wiatraków odnosi samorząd. Pokazuje to przykład Nowego Stawu. W 2016 roku do budżetu gminy trafiło prawie 5 milionów złotych tytułem podatku od nieruchomości z Parku Wiatrowego Nowy Staw II. Co byśmy powiedzieli o burmistrzu i radnych, którzy powiedzieliby wiatrakom:



12. Zaanse Shans

veto? Tym bardziej że w naszej pięknej krainie alternatywnych źródeł dochodu brak...

Nieoczekiwanie pomógł mi wydostać się z tych bezdroży myśli angielski serial dokumentalny *Skandymania*. W odcinku o Danii, światowym liderze energii odnawialnej, pokazano farmy wiatrowe z wyspy Samsø, na której zupełnie zrezygnowano z używania węgla i ropy naftowej, w związku z czym emisja CO2 wynosi tam zero procent. Inżynier z farmy spytany o wady wiatraków odpowiada: „Tutaj też ludzie dbają o widoki, wartość domu itd. Różnica polega na własności – jeśli turbina należy do sąsiada, to hałasuje okropnie, zabija ptaki i stanowi utrapienie. A jeżeli jest twoja – hałas jest jak muzyka, jakby córka grała na skrzypcach. Na tym polega trick. Jeśli jest twoja – turbina ma urok, bo stoi tu po coś”.

Obecny rząd niezbyt przychylnie traktuje OZE. Zakładanie ferm wiatrowych nie jest już tak opłacalne, jak jeszcze niedawno. Wiatraki, chcemy tego czy nie, na trwałe zagościły w naszym krajobrazie. Nie chciałbym jednak doczekać chwili, kiedy inwestorzy zaczną się wycofywać, bankrutować, zmieniać branżę po wykorzystaniu wszelkich możliwych zwolnień i ulg podatkowych. Bo z czym byśmy wówczas pozostali? Nawet Niemcy, Duńczycy i Holendrzy pohamowali

swój entuzjazm dla idei „zielonej energii”, ponieważ po latach widać, że zakładane zyski wcale nie są aż tak duże. Pojawił się też pomysł, żeby uciec z tym niechcianym tworem na morze, bo tam z dala od ludzkich siedzib nie będą nikomu przeszkadzały.

„Kraina wiatraków” powróciła, ale nie tak, jak to sobie wymarzyli jej organizatorzy. Na Żuławach zostały dwa stare wiatraki. Jeszcze stoją, ale jakie są szanse, aby je ożywić? Holendrzy ocalili kilkaset swoich wiatraków. Są symbolem ich państwa, ich myśli technicznej, determinacji w zmienianiu i oswojaniu przyrody, a jednocześnie współżycia z nią i mądrego korzystania z jej dobrodziejstw. Zabytkowe budowle są własnością osób prywatnych lub stowarzyszeń, ale państwo dotuje przeszło 50 procent wydatków na ich utrzymanie, bo Holendrzy są dumni ze swego dziedzictwa. To nie tylko ładne zadbane budynki, ale również ciągle pracujące młyny zbożowe, pompy, tartaki, foluszarne, olejarnie... Zwiedzałem kiedyś skansen Zaanse Schans, który jest jedną z najbardziej popularnych atrakcji turystycznych w Holandii. To było ciekawe przeżycie, bo patrząc na wiatraki „De Huisman”, „De Kat”, „Het Jonge Schaap”, „De Os”, pomyślałem, że tak powinno być na Żuławach. Można tam wejść do każdego wiatraka, a młynarz chętnie udzieli wyjaśnień, do czego służy jego młyn. Czuć zapach starego drewna, zboża, oleju, tarcicy, wiruje pył minerałów rozcieranych na

pigment do farb, kręci w nosie zapach gorczycy mielonej na musztardę. Poczulem się, jakbym przeniósł się w czasie, ale nie w przestrzeni, bo przecież ocalone żuławskie wiatraki też można by powrócić do życia. Chcę w to wierzyć.

W Żuławskim Parku Historycznym można obejrzeć ocalony fragment wiatraka odwadniającego, który zbudowano na przełomie XVIII i XIX wieku. W roku 1933 został on rozebrany i przewieziony do skansenu w Oliwie. Po wojnie poskładano go i odrestaurowano. Niestety spalił się w roku 1977. Ocalone fragmenty przetransportowano do wsi Wieniec na Wyspie Sobieszewskiej. W 2006 roku jego niszczone resztki zostały przeniesione do Nowego Dworu Gdańskiego. Może kiedyś dojdzie do skutku plan odbudowy takiego wiatraka w Cedrach Wielkich?

Patrzę na tytuł swojego artykułu i zastanawiam się, czy pozostało nam tylko szyderstwo. Czy symbol Żuław zostanie tylko na starych obrazkach, a zamiast holendrów i koźlaków będziemy mieli za oknem metalowe olbrzymy z obracającymi się nieustannie śmigami? Cervantes opisał, jak się kończy walka z wiatrakami. Nie chciałbym się znaleźć w skórze jego bohatera. Może trzeba się przyzwyczaić do zmienionego widoku...

KRAJ CHŁOPSKICH PAŁACÓW

Domy podcieniowe są drugim (po wiatrakach) emblematem Żuław. Charakterystyczna bryła dużego domu z wysuniętą częścią wspartą na kilku drewnianych kolumnach, połączenie drewna z konstrukcją szkieletową, szachulcową (wypełnienie z gliny wymieszanej z sieczką ze słomy lub trzciny) albo z muru pruskiego (wypełnienie ceglane), stała się znakiem żuławskiej architektury. Mało kto w Polsce zna zagrodę holenderską w typie wzdłużnym, choć ten typ budynku jest bardzo popularny na tym terenie, ale dom podcieniowy rozpoznaw wielu.



13. Banknot 50 guldenów przedstawiający dom w Koszwałach



14. Chałupa z Tarnogóry z 1773 r. (Muzeum Wsi Lubelskiej)

Nie jest łatwo wyjaśnić genezę tych budowli. Jeśli szukać budynków zawierających podcień, to znajdziemy je na rynkach wielu niemieckich miast. Tworzą go pomieszczenia w dolnej części domu, otwarte na zewnątrz, podparte na filarach. Miały przede wszystkim charakter użytkowy – można było, bez obawy o deszcz czy śnieg, wykladać w nich towar. Ale skąd ten pomysł w wiejskich chatach? Otóż to. Napisałem słowo „chata” i zawahałem się, bo kojarzy się ono zwykle z biednym budownictwem chłopskim, z drewnianym domkiem krytym strzechą. Na Żuławach dom rolnika to coś zupełnie innego. Osobliwość tego zakątka Rzeczypospolitej – jego specyficzna historia oraz ukształtowanie terenu – sprawiła, że tereny te były miejscem osadnictwa pruskiego, pomorskiego, polskiego, holenderskiego i niemieckiego. „Chłopi żuławscy byli grupą społeczną tylko z nazwy przypominającą chłopów z najbogatszych wsi kościelnych czy królewskich z innych regionów Polski”. Gospodarze lokowani na prawie chełmińskim otrzymywali zwykle nadziały od 2 do 4 łanów. Łan chełmiński, zwany włóką, liczył 30 mórg ziemi, czyli 17,955 hektara. Łatwo



15. Wnętrze domu w Żuławach

więc policzyć, że przeciętny chłop gospodarował na 36–72 hektarach. Przepisy zabraniały mu dzielenia majątku i jeśli był pracowity oraz gospodarny, to z pokolenia na pokolenie jego rodzina stawała się coraz zamożniejsza.

Zamożność tej krainy zadziwiała podróżników. Niektórzy włościanie mieli gospodarstwa liczące od 4 do 12, a nawet 17 włók. Bagatela – to przeszło 300 hektarów! Nic dziwnego, że wielu bogaczy za wszelką cenę chciało się pokazać, organizując wystawne uczty, nosząc luksusowe szaty. Anonimowy autor artykułu sprzed prawie dwustu lat pisze: „Mieszkania rolników wygodą, czystością i pozorem prawdziwego bogactwa znamienite. [...] O zamożności włościan żuławskich można się przekonać czytając prawa przeciw zbytkowi, który pomiędzy nimi panował. Jest w nich mowa o noszeniu jedwabnych sukien, srebrnych i złotych ozdób, aksamitów, adamaszków itp.”.

Wprost nie do uwierzenia, że mowa o domostwie chłopskim. Jakikolwiek porównania z chatami chłopów z Mazowsza czy Ukrainy są nie na miejscu. Zapewne wiele dworów szlacheckich było bied-

niej urządzonych. Nic więc dziwnego, że polscy oficerowie, których po klęsce powstania listopadowego internowano na tych terenach, nie mogli się nadziwić. Jeden z nich w swym pamiętniku zanotował: „W tym kraju nigdy żadnej rewolucji spodziewać się nie można, gdyż przebiegając wszystkie stany każdy kontent jest ze swego położenia”.

Ślady tego bogactwa miejscowych włościan znajdziemy w podaniach ludowych. Bardzo wymowna jest historia o chłopach z Lichnów – po żniwach uznali, że są tak bogaci, iż nic już do wiosny robić nie muszą i całą zimę spędzą w karczmie, jedząc tłusto i popijając tego... Jest ono świetną ilustracją rosyjskiego powiedzenia: *z żyru bie-sitsa*, czyli w swobodnym przekładzie: „od dobrobytu przewraca się w głowie”. Szlachta wydawała w dawnej Rzeczypospolitej tak zwane *leges sumptuariae* – ustawy przeciwko zbytkowi mieszczan, zakazujące im używania kosztownych szat, futer itd. Panowie bracia nie lubili, jak się łyki zanadto pyszniły. Ale także ordynacje przeciw zbytkom wydawały władze Gdańska (obowiązywały one również na Żuławach i Mierzei), Elbląga i Torunia. Edmund Kizik opisał przepisy tworzone od XVI do XVIII wieku, które „głęboko penetrowały sferę publicznej konsumpcji żywnościowej, odzieżowej, prawa do korzystania z usług artystycznych, literackich, muzycznych i innych – świadcząc o powszechnej wierze w niezwykłą skuteczność instrumentów prawnych w kreowaniu pozytywnych postaw konsumpcyjnych”. Przepisy ściśle określały liczbę gości na przyjęciach, jadłospis, skład kapeli; egzekwowano je bardzo skrupulatnie. Ale również permanentnie je łamano, a niektórzy nawet nie mieli ochoty zbytnio się tłumaczyć. Rajcy gdańscy uchwalili w 1635 roku, że wesele ma trwać nie dłużej niż dwa dni, gości nie może być więcej niż 48, a posiłek powinien liczyć więcej niż trzy dania. Mieszkaniec Krzywego Koła, Michał Biberstein, należał do najbogatszych ludzi na Żuławach, miał przeszło 185 hektarów ziemi. Urządził weselisko, o którym opowiadano przez lata. Wierzyć się nie chce, że było to wesele chłopskie. Opis przypomina magnackie uczty...

Użyłem wcześniej słowa „gbur”. Dziś ma ono jednoznacznie negatywne konotacje, natychmiast kojarzy się z chamem, człowiekiem bez wychowania, ale na Żuławach i Kaszubach słowo to oznaczało bogatego gospodarza i było powodem do dumy. Warto dodać, że na Żuławach zwracano się do siebie Sąsiedzie (po niemiecku: *Nachbarn*). Wsie żuławskie można podzielić aż na 32 typy, ale daruję sobie ich





17. Wnętrze podcienia

wyliczanie. Zwykle wieś liczyła 10–15 zagród gburских oraz kilka należących do ogrodników (zagrodników), czyli chłopów biedniejszych. Na przykład w Marynowach na początku XX wieku mieszkało 29 gospodarzy, spośród których 18 miało po 40 i więcej hektarów, a tylko czterech gospodarowało na użytkach mniejszych niż 10 hektarów.

Wracając do próby wyjaśnienia genezy podcieni – na początku spełniały one „funkcję magazynową. Do pomieszczenia na piętrze przez otwór w podłodze lub za pomocą żurawia przez okno wciągano worki ze zbożem”. Często była to dodatkowa przestrzeń magazynowa, bo zasadnicza mieściła się na strychu, a te w domach żuławskich są bardzo duże, bo dwuspadowe dachy mają znaczny kąt nachylenia. Wóz podjeżdżał pod otwór w podłodze i worki bez przeszkód transportowano na górę. Dodatkowo wystawka (bo tak fachowo nazywa się wysuniętą część domu) mogła służyć jako letni pokój lub kiedy jako schronienie przed powodzią. Co ciekawe, typowy dom na tych terenach ma charakterystyczny plan, niezależnie od tego, czy ma podcień, czy nie. Różnice wynikają tylko z wielkości budynku. W jego

schemacie wyróżnimy: sień główną, czarną i białą kuchnię, wielką izbę, pokój letni i sień gospodarczą.

Najstarsze zachowane domy żuławskie pochodzą z drugiej połowy XVII wieku. Na zachowanym planie wsi Suchy Dąb z roku 1667 widać kilkanaście domów podcieniowych usytuowanych prostopadle do drogi. Świadczy to o popularności tego typu zabudowań. Budowano w ten sposób całe wsie. Czasem podcień był dobudowywany później, a kiedy konstrukcja domu na to nie pozwalała, robiono tak zwany podcień wgłębnny albo starano się chociaż wydłużyć facjatkę. I po co to wszystko? Odpowiedź jest prosta – dla prestiżu. Z czasem bowiem podcień nabrał charakteru reprezentacyjnego, każdy chciał go mieć, bo zaświadczał o bogactwie, podnosił rangę domostwa. Znakomicie można to zauważyć w domach zaprojektowanych przez Piotra Loewena. Działal on tylko od 1802 do 1807 roku i postawił pięć domów: dwa w Orłowie, w Marynowach, Żuławkach i w Lasowicach Małych. Ten ostatni niestety nie przetrwał, zniszczał kompletnie, zaniedbany i opuszczony.

Domy przez niego zaprojektowane to po prostu piękne, wielkie, liczące kilkaset metrów rezydencje bogatych gburów. Usytuowano je na terpach, czyli sztucznie usypanych wzgórkach, które na tych terenach broniły domostwo przed zalaniem w czasie powodzi. A to zagrożenie było przekleństwem tej krainy aż do czasów przekopu Wisły pod koniec XIX wieku. To prawdziwe chłopskie pałace. Rzecz charakterystyczna – powstawały one w okresie niesłychanej koniunktury, która dla gospodarki żuławskiej nastąpiła po trzecim rozbiórze Polski. „Gdy w 1795 r. w Gdańsku przeładowano 20 tysięcy ton zboża, w 1802 r. cyfra ta podniosła się do 84 tysięcy, a więc niewiele odstąpiła od poziomu przeładunków w okresie złotego wieku”. Nie ulega wątpliwości, iż żyzne Żuławy znacznie na tym skorzystały. Dodajmy do tego zastąpienie średniowiecznej trójpółki systemem czteropolowym, rozpoczęcie uprawy ziemniaków oraz wprowadzenie na terenach Prus pożyczek dla rolników. Nic dziwnego, że od 1790 do 1805 roku zbudowano aż 35 domów podcieniowych. W późniejszych czasach ten typ domu już się nie pojawia.

Jest jeszcze jedna ważna rzecz. Nie powiedziałem do tej pory o tym, że są to domy drewniane. Niby nic dziwnego, na wsi, ze względu na swą dostępność i taniość, był to zawsze podstawowy materiał

budowlany. Ale za Żuławach drewno nie było ani łatwo dostępne, ani tanie. Lasów tu brakowało, ten porastający Gdańskie Niziny i Mierzę Wiślaną został przez kilka wieków doszczętnie wycięty. W XVI wieku Jan Kochanowski ubolewał: „Gdzie pojrzę, wszędy rąbią: albo buk do huty, / Albo sośnią na smołę, albo dąb na szkuty”. Drewno, sprowadzane z sąsiednich okolic albo przypływające Wisłą, było drogie. Zadziwia więc ta obfitość architektury drewnianej na Żuławach. W Polsce nie ma innej krainy, w której zagrody z drewna występowałyby w takiej ilości. Ale architektura drewniana polskiej wsi kojarzy się nam ze szlacheckim modrzewiowym dworkiem albo lichą zabudową kmiecia, o której Kasprowicz powie z bólem: „Szare chaty! nędzne chłopskie chaty!”. Na Żuławach było inaczej. Dla bogatych ten budulec stanowił jeszcze jedną formę podkreślenia swego statusu, dla mniej zamożnych był najbardziej pożądany ze względu na swe właściwości. Wilgotny klimat, nieustanne zagrożenie zalaniem, koszty opału (pamiętajmy, że mowa o epoce, w której do opalania nie używano jeszcze węgla) – to wszystko sprawiało, że dom zbudowany z sosny lub świerka był tu idealny. Są to gatunki dobrze reagujące na wodę, kurczenie się i pęcznienie, o krótkim czasie wymiany wilgotności. Dodatkowym powodem budowania z drewna był grunt – słaby i niestabilny. Dla tej konstrukcji nie trzeba było robić kosztownych fundamentów a każdy kamień na Żuławy trzeba było przetransportować wodą...

„Dzięki temu, że żuławskie domy miały bogatych mieszkańców, mają one piękny detal snycerski, który naśladował wzorce architektury stylowej. A były to wzorce najwyższej próby, gdyż pochodziły z Gdańska i Elbląga, a więc z miast, które w czasach świetności należały do światowej elity miast. Chałupy żuławskie mieszały zatem wspaniałe renesansowe portale, barokowe gzymsowanie rodem z gdańskich kamienic. Wystawki zazwyczaj nie są wsparte na słupach o kwadratowym przekroju, jak to bywa w innych regionach, ale na kolumnach zgodnie z porządkami: toskańskim, jońskim, korynckim czy kompozytowym. To wszystko razem z motywami typowo wiejskimi miesza się w niezwykłą, trudną do wyobrażenia, ale przecież harmonijną całość. [...] Żuławska architektura drewniana zachwyca różnorodnością form, detali, a nawet kolorystyki. Wynika to z różnorodności źródeł, z których czerpali budowniczowie: ze wschodu i zachodu, ze wsi i z miasta, od sąsiada i od Palladia”.



Głowica kolumny



Drzwi



Spływ wolutowy



Malowidła ściennie



Belka tramowa

i kanały oraz wały nie były należycie konserwowane...

Trwało to przez dziesięciolecia. W 1983 roku doszło do katastrofy – wody Zalewu Wiślanego zalały 3 tysiące hektarów ziemi na Wyspie Nowakowskiej. Powodzian musiało ratować wojsko. Był to stan wojenny, więc uznano, że roboty melioracyjne wykonają osoby uchylające się od nauki i pracy. Zamiast, jak śpiewał zespół Wały Jagiellońskie, „niebieskie ptaki wsadzić do paki”, wysyłano je kopać rowy. I tak Żuławy szybko zyskały złą sławę. Stworzono specjalne oddziały Ochotniczych Hufców Pracy do melioracji. Był to dowód największej pogardy władz dla tej ziemi – kwitnąca niegdyś kraina stała się miejscem zesłania. Niestety zmiany, które nastąpiły po 1989 roku, nie okazały się dla Żuław wyzwoleniem. Szybko zlikwidowano PGR-y, ale zupełnie zapomniano o pracownikach i ich rodzinach. Pół miliona ludzi w całej Polsce spisano po prostu na straty. Na Żuławach spowodowało to powstanie dużego bezrobocia wśród dawnych robotników rolnych. Okazali się „niepotrzebni jako pracownicy najemni, nie wykształcili w sobie odpowiedniego doświadczenia, aby stać się odpowiedzialnymi za własne losy właścicielami ziemi. Katastrofalne zubożenie tej grupy społecznej, stanowiącej większość ludności Żuław, powoduje pośrednio lawinową deprecjację zabytkowych obiektów architektury i budownictwa żuławskiego. Obiektów historycznych będących we władaniu tej grupy ludności, nie potrafią utrzymać w dobrym stanie technicznym ich bezrobotni mieszkańcy i właściciele”.

Opinie o pogarszającym się stanie drewnianej zabudowy wsi żuławskich powtarzają się od połowy lat pięćdziesiątych. Zaglądam do swojego archiwum. Chyba pierwszy był prof. Jerzy Stankiewicz – jego *Zabytki budownictwa i architektury na Żuławach* powstały w roku 1956. Tadeusz Chrzanowski w artykule *Przez Żuławy* z 1957 roku napisał: „czas polamentować nad stanem zachowania owych pięknych domów. [...] W ogólnej sytuacji katastrofalnego stanu zabytków polskich, stan domów żuławskich jest z pewnością jedną z pomniejszych, lokalnych katastrof. Nie należy jednak zapominać, że tego rodzaju zespół, jaki znajdujemy w widłach Wisły, Nogatu i Motławy, jest czymś na naszym terenie wyjątkowym. Gdzie indziej można przejechać przez szereg wiosek nie odnajdując śladu zabytku: tu znajdujemy je na każdym kroku i najwyższej rangi artystycznej”.



19. Ruina domu w Kamienniku Wielkim na Wysoczyźnie Elbląskiej

Takie opinie spotykamy w dziesiątkach publikacji prasowych, niestety niewiele z nich wynikało. Choć czasem jednak coś się wydarzyło – pod koniec lat pięćdziesiątych i w latach sześćdziesiątych kilka domów podcieniowych poddano konserwacji. Częściej jednak można było przeczytać, że kolejny dom niszczeje, spłonął lub się zawalił... Przy głównej ulicy Nowego Dworu Gdańskiego przez przeszło dziesięć lat straszył wypalony kikut domu „Pod Lipkami”, w Żuławkach konserwator zabytków patrzył spokojnie, jak wali się dom przy szosie wiodącej przez wieś. No ale po co w Żuławkach tyle podcieni, ten i tak był najmłodszy! O Lasowicach już pisałem. Lista strat jest ogromna, ale nie ma co rozrywać szat – lepiej ratować to, co jeszcze się da. I pomagać ludziom, którzy ratują te zabytkowe domy.

Według rejestru zabytków wojewódzkiego konserwatora w powiecie nowodworskim są 23 domy podcieniowe objęte ochroną: W Lubieszewie, Marynowach, Myszewku, Nowym Dworze, Orłowie (4 domy), Gniazdowie, Nowej Cerkwi, Nowej Kościelnicy, Izbiskach, Mikoszewie, Przemysławiu i Żuławkach (także 4). Po latach inercji

i zaniedbań wreszcie coś pozytywnego się dzieje. Dlatego pozwoliłem sobie dać ten tytuł, nawet jeśli mówienie o drugim życiu jest na wyrost. Historie Jadwigi Grądkowskiej-Sawickiej, Ewy i Artura Wasielewskich, Magdaleny i Thomasa Hattigów oraz Marka Opitza dają nadzieję.

Dom pani Jadwigi znajduje się w Marynowach. Widać go z drogi, jego ogromna bryła zwraca uwagę. Zaprojektował go i wznosił Peter Loewen. To dom z historią, która została dokładnie zbadana. Pierwszym właścicielem był bogaty gbur David Zuch. Prawdopodobnie od jego syna odkupił go Johann Jacob Zimmer, który zlecił Loewenowi jego przebudowę. W 1803 roku powstał dom, który do dziś nie przestaje imponować: przeszło 700 metrów kwadratowych powierzchni, piękna robota stolarska i snycerska (schody, drzwi wejściowe i wewnętrzne, okna, ozdobne laubzekiny) i podcień, który ma dwa poziomy po 70 metrów kwadratowych. Przecież dziś to tyle, co dwa całkiem spore mieszkania. Tu widać, skąd się wziął problem z domami podcieniowymi. Kiedy je budowano, miały zaświadczać o bogactwie i pozycji swych właścicieli. Pohlmann, Kling, Classen i Bruck – spisuję nazwiska kolejnych posesjonatów. Sprawdzam, że Gustav Bruck, właściciel do 1945 roku, gospodarzył na 70 hektarach. Te domy były rezydencjami, ich mieszkańców stać było na ich utrzymanie, remonty. Dbali o nie. Po wojnie wprowadzili się do nich ludzie, którzy nie traktowali ich jako swojej własności, poza tym często kwaterowano do nich po kilka rodzin. Ten akurat dom przydzielono trzem rodzinom. Rolnicy dostali po kilka hektarów ziemi, co ledwo starczało na przeżycie. I jak tu utrzymać takiego kolosa?

Pani Jadwiga wyszła za mąż za syna jednego ze współwłaścicieli i okazało się, że w tym ogromnym domu nie ma dla nich miejsca. Nie mogła przecież wyrzucić teściów, rodziny i trzeciego lokatora. Na parterze brakowało wolnego lokalu, na piętrze zaś – pieców i zimą ziąb był straszny. Powierzchnia domu okazała się pułapką. Łatwiej i taniej było wybudować nowy. Po śmierci rodziców męża dom stał w dwóch trzecich pusty i zaczął się nieuchronny proces jego dewastacji. Dobrze chociaż, że zaczęli doń przyjeżdżać studenci konserwacji z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu oraz Uniwersytetu w Oldenburgu. Dzięki prof. Janowi Tejchmanowi udało się podstemplować grożący zawaleniem podcień. Wydawało się, że to tylko prowizorka na



20. Ruina domu podcieniowego zbudowanego przez P. Loewena w Lasowicach Małych

dwa, trzy lata, a trwało to lat dwadzieścia trzy. Pani Jadwiga opowiada o niekończących się pielgrzymkach po urzędach, załatwianiu setek dokumentów i pozwoleń. Dziś się zastanawia, skąd brała się jej determinacja i wytrwałość. Odpowiedź jest jedna – to miłość do tego miejsca i świadomość, że jej dom ma ogromną wartość historyczną i sentymentalną. W końcu jej zabiegi zaczęły przynosić rezultaty – Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego przyznało dotację. Kilkaset tysięcy pozwoliło na remont wystawki i dachu. Od sum w kosztorysie może się zakręcić w głowie. Sama dokumentacja kosztowała kilkadziesiąt tysięcy. A bez niej nic się nie zdziało. Skąd na to brać?

Łatwo zakazać jakichkolwiek przeróbek, rozbiórkę, krytykować... Tradycyjny układ domu żuławskiego sprawdzał się kiedyś, ale gdy zamieszkało w nim kilka rodzin, okazał się zawadą. Domy dzielono, budowano ścianki działowe, przybudówki. Malowano farbą olejną, lakierowano, dachówkę zastępowano eternitem lub papą. To wszystko nie tylko szpeciło te budynki, ale często przyspieszało też ich zniszczenie. Dom w Marynowach stoi i wierzę, że został uratowany, ale co z innymi w tej miejscowości?



21. Marynowy - dom przed remontem

22. Marynowy - dom po remoncie

Ewa i Artur Wasielewscy kochają Żuławy, kolekcjonują stare meble, elementy wyposażenia, książki. Artur jest piwowarem i miłośnikiem kuchni, autorem książki kucharskiej *Kulinaria żuławskie*. Spełniło się ich marzenie i kupili dom Loewenowski w Orłowie. Wzniesiono go w 1802 roku dla Corneliusa Froesego i od charakterystycznych spływów wolutowych na wystawce zwany jest niekiedy „domem z wąsami”. Od kilku lat trwa jego remont. Kiedy odwiedziłem właściciela, ujrzałem zaledwie drewniany szkielet, bo remont takiego domu to rozbiórka całości, wymiana fundamentów i zastąpienie zniszczonych fragmentów nowymi. Praca gigantyczna, robota wymagająca fachowców i dużych pieniędzy. Na szczęście dziś już trochę łatwiej o dotacje. W ministerstwie i Urzędzie Marszałkowskim znaleźli się ludzie, którzy rozumieją konieczność ratowania zabytków na Żuławach.

W ostatnich latach wsparcie finansowe remontu otrzymały trzy projekty: domy w Orłowie, Żuławkach i Nowej Kościelnicy. Kiedy gospodarz objaśniał mi sekrety konstrukcji tego domu, pojawiały się pojęcia, których nikt nie spodziewałby się usłyszeć podczas

remontu chłopskiej chałupy: fryz, tryglif, spływ wolutowy, metopa, entasis. Jeśli dokładnie przyjrzeć się tej konstrukcji, to widać, że nie jest to już budownictwo wiejskie, zgrabna ciesiołka, ale architektura drewniana o cechach klasycystycznych. Remont wykonuje ekipa doświadczonych fachowców. Pochodzą z Kaszub, współpracują ze skansenem we Wdzydzach Kiszewskich. Znają się na robocie, a to podstawa, bo ktoś niedoszkolony może więcej zepsuć niż naprawić.

Pani Magdalena Hattig także nie mogła się nachwalić kaszubskich cieśli i stolarzy z ekipy pana Pestki. Państwo Hattig znaleźli swój dom z ogłoszenia. Ona skończyła konserwację zabytków, on jest architektem. Wprost idealne połączenie, które dało znakomite efekty. Byli jednymi z pionierów restauracji domów żuławskich. Ich dom nie jest tak wielki jak te z Marynowy i Orłowa, liczy 260 metrów kwadratowych. Po remoncie w 2006 roku funkcjonuje pod nazwą *Salvinia Lodge*. Można go wynająć na wakacje, choć nie jest to tanie – za tydzień pobytu trzeba zapłacić 1600 euro. Niemało, ale jeśli dom wynajmie kilka osób (pomieści się w nim spokojnie ósemka), to cena nie wydaje się zaporowa. Gospodarze twierdzą, że mimo braku reklamy nie mają



23. Wnętrze Salvinia Lodge



24. Dom podcieniowy w Orłowie w ruinie



25. Dom w Orłowie w czasie remontu



26. Uratowany dom podcieniowy w Orłowie

kłopotów ze znalezieniem gości. Dla niektórych szokujące są rozwiązania zastosowane w wystroju wnętrz – minimalistyczne sypialnie lub nowoczesne łazienki. Ale to jest problem, przed którym staje każdy, kto podejmie się remontu zabytku. W tych domach nie było przecież łazienek i toalet, czy w takim razie postawić wygodkę w ogrodzie? Dom został ocalony, zarabia na siebie, a Żuławy zyskały kolejne ciekawe miejsce noclegowe. To szalenie ważny problem – trzeba znaleźć sposób, aby te setki metrów po remoncie ogrzać, utrzymać, zagospodarować.

O tym opowiadał mi Marek Opitz, który uratował niszczący dom z Jelonek na Żuławach Elbląskich, przenosząc go do Żelichowa-Cyganka. Za ruinę zapłacił tylko kilka tysięcy, ale jego remont, a w zasadzie rekonstrukcja, to wydatek ogromny. Na szczęście Opitz bardzo wiele rzeczy potrafił zrobić sam, ale przez to budowa wydłużyła się do kilku lat. Dziś jego dom jest już gotowy i budzi szacunek to, jak został dopieszczony każdy szczegół i jak wszystko dokładnie przemyślano. Gospodarz zaplanował go jako miejsce spotkań, konferencji czy warsztatów tematycznych. Będzie to przedłużeniem tego, co robi w Żuławskim Parku Historycznym. Planuje, że będzie tam sprzedawał regionalne sery, piwo i machandla... Marek jest dumny ze swego dzieła, ale mówi, że gdyby wiedział, co go czeka – ile to pracy, walki z biurokracją, użerania się... Nie jest pewny, czy spróbowałby jeszcze raz. Powtarzają to wszyscy, z którymi rozmawiałem – ratowanie starych domów to wyzwanie, na którym wielu poległo. Po prostu nie da rady. A czasem wystarczyłoby, gdyby im nie przeszkadzano, żeby państwo dało choć trochę ulg podatkowych, co pozwoliłoby ograniczyć wielkie koszty remontu.

Najważniejsze jest, że zmienia się podejście do naszego dziedzictwa, że nie patrzymy na nie jak na coś obcego, poniemieckiego, że znajdują się ludzie gotowi ciężko pracować, aby uratować stare domy, aby ocalić wyjątkowe zabytki, oddać im cześć, ożywić. Tewje Mleczarz, bohater *Skrzypka na dachu*, pytał, czym byśmy byli bez naszej tradycji. I odpowiadał: „Niczym”. Miał rację !



27. Dom Mały Holender w Cyganku

3 października 2015 roku w Żuławskim Parku Historycznym obradował I Kongres Żuławski. Impreza związana była z obchodami 135-lecia nadania praw miejskich miastu Nowy Dwór Gdański i z Dniem Osadnika, który wszedł na stałe do żuławskiego kalendarza. Słuchając wystąpień zaproszonych gości, zrozumiałem, że uczestniczę w ważnym spotkaniu, że trzeba było aż siedemdziesięciu lat, aby zorganizować to spotkanie i aby historia tego regionu wkroczyła w nową erę, i aby coraz więcej mieszkańców tych stron mogło o sobie powiedzieć: „Jestem Żuławiakiem”. Francuski historyk Fernand Braudel stworzył teorię długiego trwania, a więc takiej perspektywy czasu, w której dokonują się przemiany cywilizacyjne i religijne. Okres powojenny to zaledwie kilka dziesięcioleci, a nie zapominajmy, że na ową żuławskość, po której tak płaczemy, która przemieniła tę krainę z żułu i mułu w kwitnący ogród, pracowały dziesiątki pokoleń przez setki lat. Jednym z najważniejszych składników dawnej tożsamości



28. Paul Emil Gabel *Rozmowa w sieni*, 1916 r.

żuławskiej była umiejętność współdziałania (choćby w czasie powodzi). Po wojnie więzi społeczne zostały zerwane, dlatego tak pięknym gestem była deklaracja burmistrzów Nowego Dworu i Nowego Stawu, Jacka Michalskiego i Jerzego Szalacha, oraz wójta Cedrów Wielkich Janusza Golińskiego o wspólnych pracach nad rozwojem Żuław. Bo

dopiero myślenie w kategoriach wspólnoty regionalnej może przynieść dobre rezultaty na przyszłość.

Symboliczny gest wieńczący obrady kongresu, kiedy władarze sąsiedzkich gmin, niczym trzej muskietierowie, schwycili się za ręce i złożyli zapewnienie o współpracy, był piękny. Pewnie niektórzy pomyśleli sobie, że takie gesty polityków ładnie wypadają na zdjęciach, a później szybko się o nich zapomina. Ale okazało się, że burmistrzowie i wójt mówili zupełnie serio. Bo oto na wiosnę 2016 roku urzędy gminne w Cedrach Wielkich, Nowym Dworze Gdańskim i Nowym Stawie otrzymały z Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego pismo z zaproszeniem do podpisania umowy o dofinansowanie projektu pod nazwą „Zachowanie wielokulturowego dziedzictwa Żuław poprzez wykonanie robót budowlanych, remontowych i konserwatorskich w obiektach zabytkowych i obiektach położonych na terenach objętych ochroną konserwatorską w gminach żuławskich oraz stworzenie spójnej oferty turystycznej promującej tożsamość Żuław”. Projekt został wyróżniony przez komisję oceniającą wnioski – otrzymał najwyższą notę spośród wszystkich złożonych w ramach ogłoszonego naboru. W czerwcu 2016 roku nastąpiło uroczyste podpisanie umowy o dofinansowaniu projektu. Trzy gminy otrzymają razem ponad 7,5 miliona złotych z dofinansowania Unii Europejskiej; wartość całego projektu wynosi około 13,5 miliona złotych.

To prawdziwy krok milowy w pracach nad ochroną dziedzictwa Żuław. Wiele razy pisałem o walących się domach podcieniowych, o niszczących kościołach, zapomnianych cmentarzach, zrujnowanych śluzach... I choć pisałem też o ratowaniu podcieni, wskrzeszaniu tradycji żuławskich i zapaleńcach, którzy to robią, to jednak miałem świadomość, że dofinansowanie tych prac ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego lub Urzędu Marszałkowskiego jest niewspółmierne w stosunku do potrzeb. Sukces tego projektu wnosi do spraw rewitalizacji zupełnie nową jakość. Żuławskie gminy wykorzystały to, że jednym z najważniejszych zadań finansowanych ze środków Unii Europejskiej na lata 2014–2020 jest szeroko rozumiana rewitalizacja; na związane z nią projekty przeznaczono ogromną sumę przeszło 25 miliardów złotych.

Dzięki funduszom z projektu będzie można zadbać o kościoły, domy podcieniowe, cmentarze mennonickie oraz śluzę i zabytkowy

most, a nawet dokonać rewaloryzacji przestrzeni publicznej w centrum Nowego Stawu. Gmina Cedry Wielkie dokona renowacji zabytkowego domu podcieniowego w Miłocinie (remont sieni, instalacji elektrycznej, remont lokalu mieszkalnego wraz ze zmianą przeznaczenia na funkcję izby pamięci). Wójt Janusz Goliński mówi, że docelowo chcą przeprowadzić dziesięć rodzin, które dotychczas zamieszkują podcień, do nowych mieszkań, a wyremontowany „chłopski pałac” stałby się centrum przeznaczonym na spotkania, wystawy, cele muzealne i inne służące kulturze. W projekcie znalazł się także należący do Marka Opitza dom podcieniowy „Mały Holender” w Żelichowie. Dzięki uzyskanym środkom właściciel dokona adaptacji pomieszczeń domu na działalność warsztatową, prezentacyjną, ekspozycyjną i szkoleniową – poprzez docieplenie ścian i stropu, wykonanie podłóg i węzła sanitarnego. Warto zaznaczyć, że ten przeniesiony z Jelenia dom podcieniowy nie korzystał do tej pory z żadnego dofinansowania.

Kończę tym optymistycznym akcentem. Mam nadzieję, że po latach bylejakości, niedbalstwa i lekceważenia depozytu, który przejęli nasi ojcowie i dziadowie osiedlający się w tym płaskim kraju, coś się zmienia w myśleniu i działaniu jego mieszkańców. Miał rację Jan Józef Lipski, pisząc przed laty, że jako depozytariusze dorobku niemieckiego na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych mamy obowiązek „chronić te skarby dla przyszłości, również naszej”. Dobrze, że zaczynamy to rozumieć.

TŁUSTY ŻUŁAWIAK

Nazwa Żuław wywodzi się z żułu, czyli namułu rzecznego, który niestrudzona Wisła przez tysiące lat osadzała przy swoim ujściu. Warstwa po warstwie... I tak warstwa po warstwie osiadały tu kolejne grupy osadnicze: Prusowie, Pomorzanie, Polacy, Niemcy, Holendrzy. Mieszkało tu trochę Żydów, maszerowali Szwedzi i Francuzi... Po 1945 roku pojawili się także Ukraińcy. Każda nacja przynosiła swe zwyczaje kulinarne, przepisy, swoją metodę uprawy warzyw, sadzenia drzew owocowych, własne nawyki żywieniowe. Tysiąc burzliwych lat powstawania i rozwoju tej krainy spowodowało, że tutejsza kuchnia była wielokrotnie zmieniana, poprawiana i ulepszana, ale też została zapomniana i obecnie jest na nowo przywoływana do życia. Dziś na określenie jej specyfiki można przywołać modny termin *fusion cuisine*, czyli taki sposób gotowania, który łączy na jednym talerzu rozmaite tradycje kulinarne.

Przez kilkaset lat wytworzyła się w tej krainie specyficzna tradycja agrarna i społeczność, które zniszczyła zupełnie II wojna światowa – na mocy porozumień jałtańskich ludność na Żuławach została w stu procentach wymieniona. Władanie nad tymi ziemiami objęli po raz pierwszy od czasu rozbiorów Polacy, a dotychczasowi mieszkańcy wyjechali do Niemiec, Holandii, a nawet do Ameryki. Szukanie źródeł miejscowej kuchni jest jak kulinarna archeologia. Jak się okazuje, dla wielu to sprawa wielce frapująca, bo oto w ciągu ostatnich miesięcy pojawiły się aż trzy książki na ten temat: *Mennonici – życie codzienne od kuchni* Wojciecha Marchlewskiego, *Kuchnia Żuław* Elżbiety Skirmuntt-Kufel oraz *Kulinaria żuławskie* Artura Wasielewskiego.

Dla Wojciecha Marchlewskiego, od lat badającego tradycje i zwyczaje mennonickie, kuchnia tej wspólnoty religijnej jest tylko pretekstem do mówienia o początkach grupy wyznawców Menno Simonsa, jej historii i współczesności. Książkę wydało Muzeum-Pałac w Wilanowie, które od lat dba o dokumentację polskiego dorobku ku-

linarnego – wydając między innymi serię „Monumenta Poloniae Culinaris”, zawierającą takie dzieła, jak: pierwsza polska książka kucharska z 1682 roku – Stanisława Czernieckiego *Compendium ferculorum albo zebranie potraw*, spisana około roku 1686 *Moda bardzo dobra smażenia różnych konfektów* oraz druga wydana drukiem polska książka kucharska, zatytułowana *Kucharz doskonały* (1783).

Kuchni Żuław niestety nie udało mi się kupić, miałem tylko możliwość przeczytania książki Elżbiety Skirmuntt-Kufel *Niebo w gębie, czyli przysmaki powiatu gdańskiego*, wydanej kilka lat wcześniej. Autorka jest prezeską Stowarzyszenia Żuław Gdańskie w Trutnowach i wzmiankowana książka to owoc konkursu na potrawy regionalne. Zawiera ciekawy wstęp prof. Andrzeja Januszajtisa pod tytułem *Tradycje kuchni żuławskiej*. Kulinaria żuławskie Artura Wasielewskiego ukazały się w ostatnich dniach i są efektem kilku lat zbierania przepisów, gotowania, a nawet sadzenia zapomnianej obecnie brukwi, która pojawia się w wielu oryginalnych recepturach. Wydawnictwo prezentuje Żuławę od kuchni, bo poprzedza je wstęp o historii regionu napisany przez Jerzego Dominę, a poza przepisami umieszczono w nim wiele informacji i ciekawostek regionalnych.

Czego się dowiadujemy z tych książek? Przede wszystkim – Żuławę były krainą rolniczą, właściwie bez własnej szlachty, a więc to naturalne, że wytworzyły kuchnię chłopską, prostą i mało wykwintną, a za to pożywną i sycącą, dającą siły do ciężkiej pracy na polu i w gospodarce. Píše Jerzy Domino: „Rodzina gburska posiadająca gospodarstwo rzędu 2–4 włók (czyli 30–70 ha) musiała je obrobić, opłacić stałą kilkusobową służbę (2–4 osoby), czynsz, dziesięcinę oraz robotników najemnych, którzy w czasie intensywnych robót byli żywieni przez gospodarza, bo jednym z warunków płacy był posiłek. Charakter posiłków uzależniony był od pór roku, dostępnych płodów rolnych [...]. Spiętrzenie prac polowych – sianokosy, zżęcie sierpem kilkudziesięciu hektarów, zaoranie i obsianie ich w krótkim terminie wymagało dobrej organizacji, koordynacji kilkunastu co najmniej osób i przygotowania energetycznych posiłków”.

Tu pojawia się specyfika żuławska – dochody gospodarstw chłopskich były nieporównanie większe niż w innych częściach Rzeczypospolitej. To sprawiało, że jedną z cech potraw serwowanych na Żuławach była ich obfitość i tłustość – synonimy bogactwa.



29. Kuchnia w domu żuławskim

niezmordowania, co się dotyczy uprawy gruntu, ochędóstwa dobytku i zabudowań gospodarskich, a mianowicie wykwintnej czystości domów i izb mieszkalnych, w których [...] aż pachnie czystością. Słowem, w tych domach nie masz prawie, gdzie pluć, chyba w gębę staremu Holendrowi lub obrzydliwej babie Holenderce, bo tam smrodu i plugastwa nie brakuje z przyczyny używania zbyt wielu wieprzowiny i pokarmów nieumiarkowanie tłustych”. Pewnie pamiętnikarza mierziło swobodne puszczanie wiatrów, rzecz w kulturze chłopskiej wcale nie wstydliva, a przy takim odżywianiu zupełnie naturalna.

Charakterystyczne dla kuchni żuławskiej jest przygotowywanie typowych dań prostej kuchni chłopskiej, na przykład kartofli ze zsiadłym mlekiem, w wersji bogatszej. Mleko zastępowała śmietana, dodawano boczek lub szynkę, która w innych regionach była luksusem, a w kuchni chłopskiej w ogóle nie występowała. Max Rosenheyn w *Reise-Skizzen aus Ost- und West-Preußen (Szkice z podróży po Prusach Wschodnich i Zachodnich)* z 1858 roku pisał, że Żuławiak jest: „Tłusty jak gleba i dobre jedzenie jest dla niego główną potrzebą. Mieszkaniec Wysoczyzny pije wodę lub sfermentowany napój, Żuła-

Tadeusz Józef Chamski – polski oficer internowany w Prusach po klęsce powstania listopadowego – został zakwaterowany we wsi Heubuden (dziś Stogi Malborskie) w domu mennonitów. W swych wspomnieniach zatytułowanych *Opis krótki lat upłynionych* przedstawia ich obyczaje. Zdumiewa go bogactwo (szlachcic nie może się nadziwić, że występuje ono w domu chłopskim), chwali czystość panującą w obejściu, ale ubolewa nad kuchnią zbyt tłustą. Warto go zacytować: „Wszyscy gospodarze na Żuławach [...] zachowują wzorowe przodków zwyczaje pilności, gustu, starań,

wiak maślanek. Tamten je wieprzowinę smażoną, on gotowaną, przedtem przez kilka dni moczona w śmietanie. Nawet służbę domową się tutaj dobrze żywi. Rano dostaje się gęstą kartoflanekę, w lecie maślanekę, ser i chleb. W południe dużo tłustych potraw i mięsa”.

Być może stąd wzięło się żuławskie powiedzenie: „Lepiej utonąć na nizinach niż uschnąć na wyżynach”. Bo kto bogatemu zabroni? Mennonita Dyck w swym dzienniku zapisał pod datą 8 listopada: „Zaszlachtowaliśmy sześć świń, dwie ważyły od 370 do 380 funtów”. Tak gigantyczne świny hodowano właśnie na słoninę, rasy mięsne są przecież znacznie mniejsze. Nie da się ukryć, że owe tłuste potrawy były przyrządzane nie tylko ze względu na swe walory energetyczne, była to także sprawa prestiżu, dowód bogactwa. Stąd pomysł tak zwanego świńskiego podwieczorku, polegającego na tym, że gdy ktoś był głodny, szedł do spiżarni, odkrawał kawałek solonej lub wędzonej słoniny i jadł z chlebem. Dowcipnie powiadano tutaj, że najlepszą jarzyną jest mięso. Dodawano zaraz: „Tak, ale porządnie tłuste!”.

Manifestacja owego chłopskiego bogactwa przeszła do historii Żuław. Rajcy Gdańska (któremu podlegała część regionu) wydali w 1635 roku zarządzenie normujące obyczaje i postępowanie w czasie uroczystości rodzinnych. Były to tak zwane ustawy o zbytkach. Ustanowili, że: „Wieśniacy, którzy są dziedzicznie osiadli i mają gospodarstwa i włości w dzierżawie, mają na wesele czy zabawy ślubne zarówno ze strony pana jak panny młodej nie więcej ludzi zapraszać niż najwyżej do 4 kanciastych stołów, czyli przy stole nie więcej niż 12 osób sadzać, licząc w tym także dzieci, czeladź i przyjaciół. Kto czyni przeciwnie, ma za każdą nadliczbową osobę zapłacić jedną dobrą



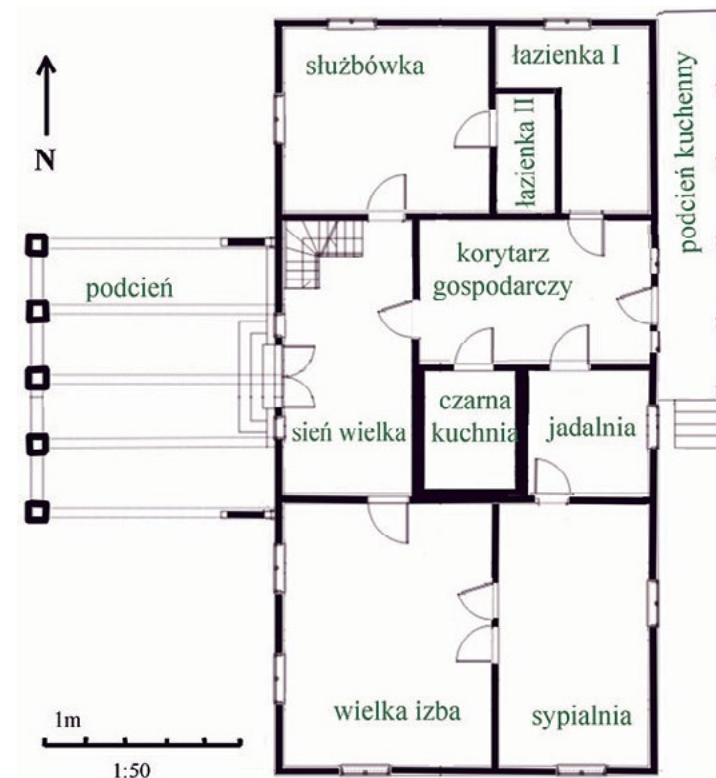
30. Zupa brukwiowa

grzywnę. Co do potraw nie należy wносить więcej niż trzech dań pod karą 5 dobrych grzywien. Jeżeli ktoś zechce wydać przyjęcie na mniej niż cztery stoły, ma swobodę czynienia tego. Przyjęcie czy zabawa ślubna nie może też trwać dłużej niż jeden dzień, gdyby ktoś to zlekceważył, ma bezwzględnie zapłacić 50 dobrych grzywien, tudzież nie wolno dodać dnia pod powyższą karą”.

Jednak zakazy nie zawsze skutkowały, ludzie je omijali i płacili kary. W 1700 roku Mikołaj Biberstein, syn sołtysa w Krzywym Kole, zaprosił na wesele 455 par gości! Przyjęcie zaczęło się we wtorek przed Środą Popielcową, a skończyło już w poście. Zużyto na nie: 45 funtów korzeni i przypraw, 15 kamieni (220 kg) ryżu, 12 kamieni (180 kg) śliwek, 5 wołów, 115 cieląt, 45 jagniąt, 100 par kapłonów, 145 par gołębi, 60 zajęcy, 55 świń, 10 kóp (600) karpia, 1 łaszt (2,2 tony) pszenicy i 2 łaszt (4,4 tony) żyta na chleb, 16 fas wismarskiego piwa, 10 beczek elbląskiego, 36 beczek gdańskiego, 4 oksefty (okseft pruski równy był 206 litrom, więc daje to 832 l) francuskiego wina. Na ciastka i słodczyce wydano 344 floreny, na 20 muzykantów 300 florenów. Nie liczono masła, słoniny, mleka, owsa, siewki itp. W sumie wydano 6034 florenów i 15 groszy. Bogacza ukarano grzywną w wysokości 1000 florenów. Ponoć zapłacił karę bez szemrania, choć równała się ona cenie pięciolanowego (84 ha) gospodarstwa wraz z zabudowaniami.

Możemy zestawić to wyliczenie z innym, dotyczącym wesela Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Opis jego ośmiodniowej uczty weselnej, w której uczestniczyło ponad 7 tysięcy gości, przekazał nuncjusz apostolski Galeazzo Marescotti. Podano wtedy 400 wołów, 3 tysiące par cieląt, 4 tysiące baranów, 4 tysiące jagniąt, 300 bażantów, 5 tysięcy par kuropatw, 100 jeleni, 5 łosi, 2 tysiące zajęcy i kilkadziesiąt dzików. Uff! Ale jeśli policzymy proporcje (na przykład wedle liczby gości), to okaże się, że pan Michał Biberstein (vel Biberstein) miał królewski rozmach i fantazję, tudzież konieczne do tego środki finansowe...

Mięso najczęściej jadano smażone lub pieczone, ale nie zapomniano także o jego wędzeniu i wekowaniu. W żuławskich domach funkcjonowały „co najmniej dwa pomieszczenia związane z posiłkiem – czarna kuchnia oraz biała kuchnia [...], a dodatkowo jeszcze spiżarnia, wędzarnia, suszarnia, piwnica. Czarna kuchnia jest stosunkowo dużym, centralnym, murowanym pomieszczeniem, niegdyś otwartym góram do zbudowanego nad nią komina. Przed wprowadze-



31. Schemat domu podcieniowego Mały Holender w Cyganku/Żelichowie

niem kuchni płytowych, kiedy potrawy przyrządzano na otwartym palenisku, dym unosił się do góry, wędząc zawieszone tam na hakach lub drągach mięsa albo ryby lub sery. [...] nie było tam miejsca na przygotowywanie jakichś wyszukanych dań, podgrzane w garnku lub obsmażone na ruszcie czy rożnie mięso wynoszono i można było je nakładać na oddzielną miskę albo stawiano garnek na stole, skąd potrawę rozlewano obiadującym. [...] W niektórych domach jadano razem ze służbą i sezonowymi robotnikami razem, w innych były to oddzielne stoły”.

Obfitość bydła wypasanego na bujnych żuławskich łąkach sprawiała, że nie brakowało tu wołowiny. W starych książkach kucharskich, takich jak: Johann Loh *Praktisches Kochbuch, enthält über 1600 Rezepte* (Praktyczna książka kucharska zawierająca przeszło 1600 przepisów) oraz siostr Margarete i Elisabeth Doenning *Kochbuch der ostpreussischen Haushaltsschule* (Książka kucharska wschodniopru-

skiej szkoły gospodarstwa domowego) znajdziemy sporo przepisów na dania z wołowiny oraz flaki. Te ostatnie cieszyły się taką popularnością, że w Elblągu był bardzo znany lokal „Zum Wartburg”, który specjalizował się w tej potrawie. Często pojawia się ona we wspomnieniach dawnych mieszkańców, między innymi drukowanych w „Tiegenhöfer Nachrichten” – piśmie byłych nowodworzan i Żuławiaków. Flaki królewieckie tradycyjnie spożywano w gospodach znajdujących się na przystaniach wodnych, na przykład na Wiśle, Szkarpawie, Nogacie, nad Zalewem Wiślanym. Podawane z bułką i piwem stanowiły kompletne danie.

Przydomek „królewiecki” nosiła też najslynniejsza potrawa z tego regionu – klopsy królewieckie (*Königsberger Klopse*). To żuławskie danie niedzielne. Jednocześnie jest to jedno z najslynniejszych dań kuchni niemieckiej – zna je 93 procent Niemców. Po II wojnie światowej w NRD ich nazwa była niepoprawna politycznie, bo Königsberg zmienił się w Kaliningrad, toteż zmieniono ją na *Kochklopse* – gotowane klopsy. Cóż za soc-finezja! Popularna była też wersja – zupa „Królewieckie klopsy”. Jest to skromniejsza i oszczędniejsza, a więc codzienna odmiana klopsów królewieckich. Opisywała ją pani Krystyna Weilandt jako przysmak rodzinny. Na pogrzebie pani Krystyny jej córka wspominała właśnie tę potrawę jako szczególnie ulubioną przez matkę. Tak silna jest pamięć smaków dzieciństwa...

Warto zauważyć, że u gospodarnych Żuławiaków nic się nie marnowało. Smażono naleśniki krwiste i siarne, wykorzystując krew z uboju i siarę po ocieleniu; wyrabianie salcesonu i kiełbasy płuckowej było sposobem zagospodarowania mniej atrakcyjnych części zwierząt hodowlanych. Niczego nie wolno było zmarnować, wyrzucić... Nawet świńskich uszu czy skóry. Taki sposób gospodarowania oznaczał szacunek dla darów bożych, ale ważna była też pamięć o ciężkich czasach, w jakich żyli przodkowie. Wszak mennonickie porzekadło mówi: „Pierwsze pokolenie czeka śmierć, drugie – bieda, a dopiero trzecie – chleb”.

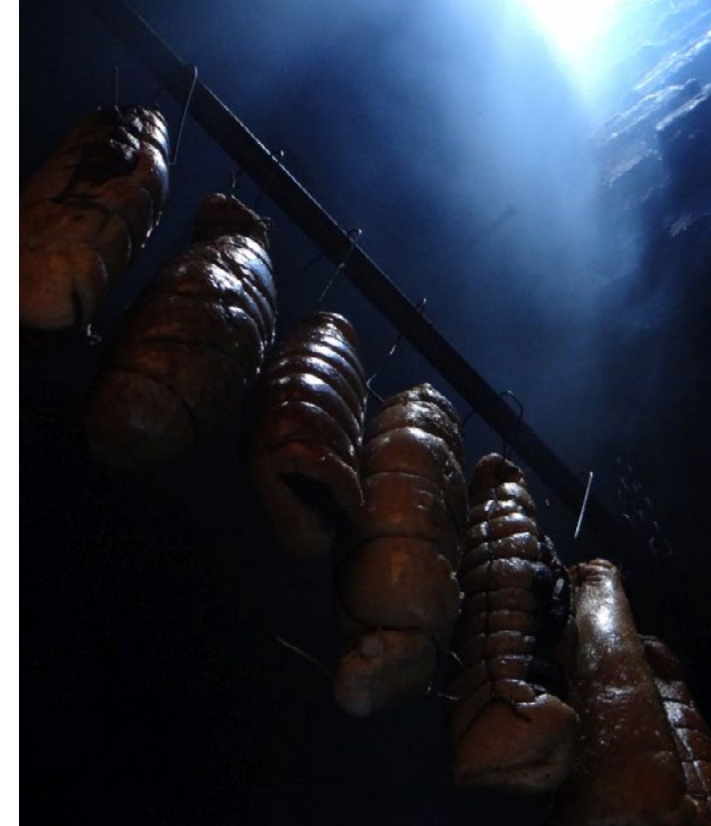
Oprócz wieprzowiny chętnie raczono się też drobiem. Preferowano gęsinę. To znakomity rodzaj ptactwa domowego. Po wojnie została niesłusznie zapomniana, hodowano ją tylko na użytek domowy lub na eksport do Niemiec, gdzie polnische Gans cieszyła się (i cieszy się nadal) ogromną estymą. Na szczęście dziś wraca do łask sprze-

dawców i konsumentów.

Dzień świętego Marcina (czyli 11 listopada) na Żuławach był czasem zakończenia roku rolniczego. Erwin Flink jest autorem wspomnieniowej książki *Das Große Werder – Rückblick und Erinnerungen* (*Wielkie Żuławy – spojrzenie wstecz i wspomnienia*), w której szczegółowo opisuje zwyczaje towarzyszące tej dacie: „Wykonane zostały płatności w gotówce i produktach naturalnych, wypłacony czynsz za dzierżawę ziemi, i wypłacone zaległe wynagrodzenia pracownikom. Wszystko było już zebrane i można świętować.

Pracownicy otrzymywali zapłatę i wracali do swoich domów, często premią była gęś zabierana do domu”. We wspomnieniach mennonity Heinricha Dycka jest mowa, że w okolicach 11 listopada odbywał się wielki ubój gęsi. „Na świętego Marcina lepsza gęś niż zwierzyna” – powiada przysłowie. Hodowano je tu od dawna. Francuski podróżnik Charles Ogier w 1635 roku pisał: „wyruszyliśmy przy cudownej pogodzie i przez bardzo urodzajne pola z Malborka do Gdańska; nigdzie indziej nie ujrzyś tylu gęsi, tylu tłustych krów z tak pełnymi wymionami. Holendrzy to byli ci, którzy pola te osuszyli i bagna nieużyteczne, wykopawszy długie kanały i strugi, zamienili w role, łąki i ogrody pełne owoców”.

Günter Grass w książce *Psie lata*, której akcja toczy się częściowo na Żuławach, pomieścił opis pieczenia gęsi, która miała uświetnić chrzciny. Niestety „gęś w duchówce, nie polewana [...] ani razu nie odwrócona, stawała się coraz bardziej chrupiąca i niedzielna...”. Nie zdradzę zakończenia opisu przygotowywania gęsi „w trzecim roku



32. Półgęski wędzone w kominie domu Mały Holender

wielkiej wojny, kiedy gęsi stały się taką rzadkością, że zaliczano je do wymierających gatunków zwierząt”. Podawano nie tylko gęś pieczoną. Popularne były też gęsie pałki w białej galarecie oraz okrasa i półgęski, a także gęsi smalec.

No tak, dopiero teraz się spostrzegłem, że pomyliłem kolejność, bo piszę o daniach mięsnych, a powinienem rozpocząć od opisu tutejszych zup. Proszę wybaczyć mi ten bałagan w wydawaniu potraw, ale piszę kołysany marzeniem o pieczonej gęsi, a czyż „ślepa zupa rybna, czyli nowodworska zupa rybna bez ryb” może człowieka rozmarzyć? A w dodatku Marek Opitz, autor znakomitych fotografii do książki Wasielewskiego, które sprawiają, że jest ona właściwie albumem kulinarnym, sfotografował talerz, na którym są składniki zupy, ale brak zupy właściwej. Czyli mamy tu do czynienia nie tylko ze ślepą polewką, ale i z suchą zupą. Kiedy zwróciłem mu na to uwagę, odparł: „To ilustracja rozdziału. Zupy są na kolejnych stronach, a to zdjęcie ma intrygować, nieco zaskakiwać... To w większości typowe składniki żuławskich zup, daj im poleżeć na zacnym talerzu bez płynu. Zauważ, jak pięknie wzór łączy te składniki niby to chaotycznymi liniami wykonanymi przez niderlandzkiego rzemieślnika, malującego wówczas pewnie z tysięczny talerz w życiu, niemającego już perspektyw na robienie czego innego. Niemającego też wówczas pojęcia, że 300 lat później ukaże się książka, w której będzie można zobaczyć jego dzieło. To taki pomnik i dla rzemieślników, i dla składników potrawy, albo inaczej – to strona z atlasu anatomii zupy. Otwierasz następne strony, a tam już zupa ubrana w płynność...”. I cóż można więcej powiedzieć na takie *dictum*? Tylko kontemplować!

Zupy były często podstawą chłopskiego jadła. Gęste grochówki i fasolówki, postne polewki (na przykład chlebowa lub z owoców bzu czarnego), rybne (dorszowa, z flądry), flaki, barszcze i czernina. Ich przyrządzanie było łatwe i mniej czasochłonne, bo gotowało się gar na kilka dni. A to było szczególnie ważne w czasie prac polowych, takich jak żniwa czy wykopki, które wymagały ogromnego nakładu pracy wszystkich mieszkańców. Każda para rąk się liczyła. Dlatego spożywano wtedy potrawy szybkie, proste i pożywne. A poza tym takie, które łatwo można dostarczyć na pole.

Dotyczyło to także eintopfów. Pochodzenie tej potrawy wiąże się z holenderskimi osadnikami. To wersja żuławska popularnego



33. „Surowy materiał obiadu o smaku jeszcze nie uformowanym i jałowym...”

w Niemczech dania zwanego *Eintopf*, czyli: „jeden garnek”. Dania łatwego w przyrządzeniu, sytego i niewymagającego dużej ilości czasu. Pomysł na nie wywodzi się z północnych Niemiec albo z Holandii, ale znane jest też w innych kulturach. Potrawa w zależności od składników może przypominać zupę, gulasz lub potrawkę. Holendrzy specjalizują się w wersji zwanej *stamppot*, co dosłownie znaczy „tłuczony garnek” – utłuczone na papkę ziemniaki z warzywami plus tłusty sos oraz mięso, kiełbasa albo kaszanka. Niewielkim kosztem tworzy się sycące danie.

W okresie narodowego socjalizmu w Niemczech propagowano, aby raz na miesiąc wystawny obiad niedzielny zastępować eintop-fem (*Eintopfsonntag* – „niedziela z eintopfem”). Zaoszczędzone w ten sposób pieniądze miały być przekazywane na potrzeby biednych w ramach tak zwanej Pomocy Zimowej. Chodziło o podkreślanie jedności i solidarności narodowej.

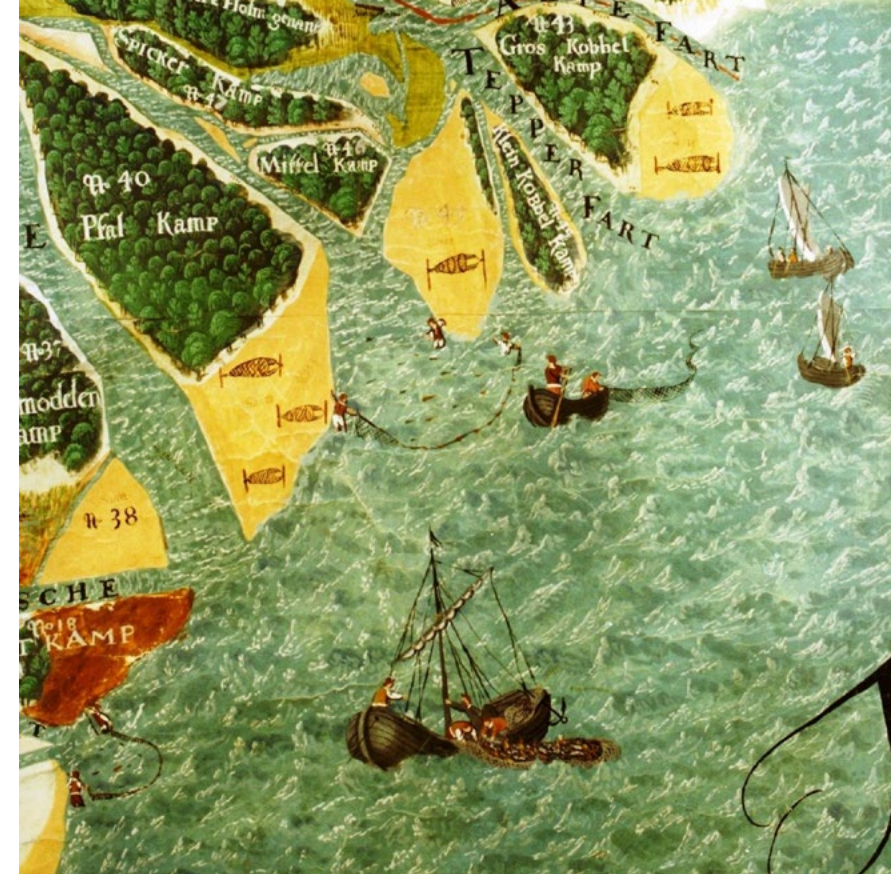
Bliskość morza, zalewu, rzek i kanałów oraz rowów melioracyjnych sprawiała, że ryby były w tym regionie łatwo dostępne. Dziw-

ne więc, że w książce *Mennonici – życie codzienne od kuchni* Wojciech Marchlewski pisze, że „istotną cechą kuchni mennonitów jest niemal całkowity brak dań rybnych [...]”, mimo że „gospodarowali na terenach nadmorskich i w dolinach wielkich rzek – Wisły, Niemna czy Wołgi”. Jeśli jednak poszukamy, to na przykład na internetowej stronie „Mennonite Girls Can Cook” dań z ryb znajdziemy całkiem sporo. Nie brak ich także w starych książkach kucharskich – łososie, węgorze były od święta, ale dorsze, śledzie czy ryby słodkowodne jadano na co dzień.

Prawo połowów w Wiśle, Szkarpawie czy Motławie władze wydzierżawiły rybakom. Mieszkańcy Żuław mogli natomiast łowić ryby w kanałach i rowach albo też pozyskiwać je w czasie nawadniania łąk. Opisuje to powstaniec listopadowy we swych wspomnieniach: „Owe doliny stanowią najwytworniejsze łąki, które się przez nawodnienie kilkakrotnie co roku napawają wilgotnością, przez co ogromne ilości doskonałego osiąga się siana. Przy takiej manipulacji wielka masa ryb, a mianowicie sandaczy, dostaje się na łąki, a gdy się wypompuje woda, stają się one bardzo łatwym łupem”.

Występowanie wielkiej ilości ryb w krótkim czasie doprowadziło do powstania sposobów ich zagospodarowania – na przykład peklowanie było prostym sposobem konserwowania ryb w czasach, kiedy nie było lodówek. Służyło temu również marynowanie. Popularne były zielone śledzie w zalewie octowej. Zielone śledzie to świeże ryby, prosto z kutra. Mają ledwie rok lub dwa, odznaczają się zieloną połyskującą łuską. O szlachetne ryby dziś trudno, ale śledzie nadal przyplływają tu na tarło i łowione są w wielkich ilościach. Tyle że nie przerabia się ich na miejscu, tylko sprzedaje do Niemiec i Holandii w myśl porzekadła: „Sami nie wiecie, co posiadacie”. Ale nie martwmy się, bo wrócą do nas przetworzone – za jakiś czas będziemy je mogli kupić w delikatesach. Ale za jakie pieniądze!

Spożywano też dania z minogów czy raków. Minogi były przysmakiem popularnym zwłaszcza w Elblągu. Dziś są pod ścisłą ochroną. Dawniej te stworzenia wodne (nie są to ryby, choć je przypominają) często wykorzystywano w kuchni. Stefan Wiechecki, czyli Wiech, umieścił je nawet w tytule swej powieści *Cafe pod Minogą*, bo marynowanymi minogami zajadali się warszawscy smakosze. W niektórych krajach nadal są popularne, na przykład w Anglii dla królowej



34. Fragment mapy Friedricha Berndta z 1600 r. przedstawiający rybołówstwo

Elżbiety przyrządza się *Lamprey Pie*. Ale nie trzeba przesadzać z ich konsumpcją. Król Anglii Henryk I zmarł w 1135 roku po przejedzeniu się minogami. Raków pewnie tu nie brakowało – jest kilka miejscowości, których nazwa wskazuje na ich obfitość: Rakowe Pole, Rakowiska, Raczki Elbląskie.

Żuławy słynęły z doskonałej jakości nabiału. Obfitość łąk pozwalała na wypasanie wielkiej liczby czarno-białych krów rasy holsztyńsko-fryzyjskiej. O atutach krów niderlandzkich wiedzano w Polsce już w dawnych wiekach. Pierwsze z nich sprowadzono do Polski pod koniec XVI wieku, ale mogli sobie na nie pozwolić jedynie najbogatsi. Zwykła maślanka nie była traktowana jako pasza dla zwierząt, ale chętnie ją spożywano, na przykład w formie deserów, lub używano do moczenia mięsa. Chętnie pokrzepiano się serami żółtymi – wiele gospodarstw produkowało go na własne potrzeby i na sprzedaż.



35. Rybak wyplatający wirożki



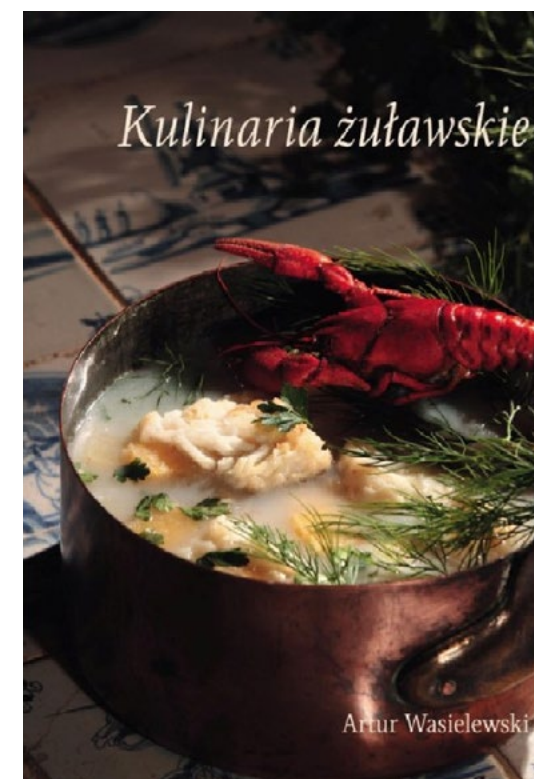
36. Żuławskie łąki

na zmianę rynków zbytu i granic celnych uległa zmianie i ograniczeniu. Zaczęto produkować sery topione, co stanowiło wówczas nowość na rynku. W skład firmy weszła mleczarnia w Kępinach Małych oraz w Żelichowie-Cyganku. Pod koniec lat trzydziestych XX wieku przedsiębiorstwo przerabiało latem do 17 tysięcy litrów mleka dziennie. W Wolnym Mieście Gdańsku znaczna większość mleczarni należała do Szwajcarów.

W Tiegenhofie (dziś w Nowym Dworze Gdańskim) Szwajcar Leonhard Krieg od końca XIX wieku produkował sery typu szwajcarskiego (ementaler) i tylżyckiego. W 1892 roku w odkupionych budynkach na parceli Rossgarten, czyli przy obecnej ulicy Kopernika 17, powstała wzorcowa mleczarnia i serownia z nowoczesnym, pierwszym w tej części Europy systemem chłodniczym. W następnych latach firmę znacznie rozbudowano – posiadała lub dzierżawiła mleczarnie w Marzęcinie, Orlińcu, Kmiecinie i Szkarpace. W latach 1912–1914 wszystkie przedsiębiorstwa Kriega w sezonie letnim przerabiały łącznie blisko 50 tysięcy litrów mleka dziennie. W okresie Wolnego Miasta Gdańska produkcja ze względu

Dziś mleczarskie tradycje regionu kultywuje „Maluta”, czyli Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Nowym Dworze Gdańskim, powstała w 1963 roku na bazie pięciu małych przedwojennych mleczarni. A w dawnej mleczarni Szwajcara Leonharda Kriega mieści się dziś Żułowski Park Historyczny.

Do osobliwości kuchni żuławskiej należy też dodawanie jabłek i śliwek do mięsa – rzecz w innych regionach zupełnie nieznaną, a wynikająca z obfitości tych owoców. Każdy dom miał swój sad, a mennonicy kaznodzieje wręcz nakazywali wiernym sadzenie drzew owocowych. Sady przydomowe były źródłem znakomitych śliwek, z których wytwarzano powidła. Sadzono tylko jabłonie i śliwy. Do dziś tradycyjną metodę produkcji powideł kultywuje społeczność Dolnego Powiśla. Na przełomie XIX i XX wieku było tam przeszło dwa tysiące sadów przydomowych (największy na Pomorzu region sadowniczy). Wielu badaczy zakładanie tych sadów przypisuje mennonitom, był to bowiem największy poza Żuławami obszar kolonizacji olęderskiej. Suszenie owoców należało do tradycyjnych metod przygotowywania zapasów na zimę. Śliwki w dawnych czasach suszono w przydomowych suszarniach opalanych drewnem – dym był również czynnikiem konserwującym. Praktyczne było też wędzenie śliwek w kominach żuławskich domów. Urządzano w nich wędzarnie, które były niezastąpione w przygotowywaniu i konserwowaniu słoniny, wędlin, ryb i owoców. Suszone owoce znajdziemy w wielu żuławskich recepturach: w zupie śliwkowej, w czerninie... Były składnikiem farszu pieczonej gęsi, a także nieodzownym dodatkiem do ozora wołowego. Nie dało się bez nich także spełnić toastu miejscowym



37. Potrzebny podpis



38. Stara odmiana
jabłoni żelazniak

destylatem, bo do kieliszka z trunkiem wkładano wędzoną śliwkę przebitą wykałaczką. Nie mogła to być śliwka jakakolwiek. W reklamie nowodworskiej jałowcówki znalazłem wierszyk, opisujący, jaka powinna być owa śliwka: „Nie za duża i nie za mała / nie za gruba i nie za chuda / nie za rumiana i nie za blada / nie za sucha i nie za mokra. / Ma działać na smak i zmysły / a wtedy świetnie smakuje machandel!”. Bardzo wyśrubowane te wymagania, ale machandel to nie byle napitek, o czym zaraz opowiem.

Po wojnie stare przepisy kultywowano tylko w domach dawnych mieszkańców tych ziem, gdzieś w Niemczech, Holandii, a nawet w Meksyku czy Kanadzie. Na Żuławach żyło jeszcze kilku autochtonów, i to wszystko. Na te tereny przybyli nowi mieszkańcy – z centralnej Polski, zza Bugu, ze zburzonej Warszawy, Kociewiacy i Kaszubi, Ukraińcy z Bieszczadów... Każdy ze swoją kuchnią, z własnymi przepisami. Gotowali żurek, lepili pierogi, a także urządzali wspólne biesiady, na przykład z okazji świniobicia. Było ono swego rodzaju uroczystością, na którą zapraszano znajomych i sąsiadów. Opis świniobicia często pojawia się we wspomnieniach powojennych osadników. Była to świetna okazja do spotkania, poznania się i budowania miejscowej wspólnoty. Ale to już temat na zupełnie inną opowieść...



39. Nastaw octowy z jabłek